



KAPITAN
ROSS

MELISA BEL

Odwróciła się do nadchodzącego dżentelmena, licząc, że wystarczy obrzucić go chłodnym spojrzeniem, by zostawił ją samą, jednak gdy dojrzała jego sylwetkę, zeszywniała. Pamiętała go.

To nie był kolejny wymuskany dandys, który krył się pod wymyślnym wiązaniem fularu.

Ten mężczyzna nosił ubranie... dość minimalistyczne, żeby nie powiedzieć, niekompletne. Jego szerokie barki wręcz rozsadzały materiał surduta, który choć doskonale skrojony, odznaczał się prostotą. Pierś zdobiła klasyczna, batystowa koszula, na której jednak brakowało halsztuka, przez co rozchyłała się na szyi, ukazując śniadą skórę. Kolejny niespotykany u dżentelmena element. Powszechnie uważano, że opalona skóra nie przystoi wyższym klasom. Jej własną, bardzo bladą poeci amatorzy nazywali „alabastrową jak światło księżyca”. Prawie nigdy nie wychodziła z domu bez parasolki, pod którą zawsze mogła się schronić w razie zbyt silnego słońca.

Gdy mężczyzna stanął tuż obok, skłonił się jej z uśmiechem.

Pamiętała, że poznali się w równie niekonwencjonalny sposób, w klubie Hamiltona. Odwiedzała wtedy Charlotte, która przeniosła się tam czasowo razem z dziećmi, gdy spłonął jej sierociniec.

Przypomniała sobie naprędce, że przedstawił się jako kapitan Ross Mortimer, choć według niej wyglądał raczej na jakiegoś barbarzyńskiego pirata. Brakowało mu tylko kolczyka w uchu i wsuniętych za pas pistoletów.

Musiała przyznać, że robił wrażenie.

Zupełnie nie przypominał typowego dżentelmena.

A może wcale nim nie był?

– Madame – wymruczał niskim barytonem, który zdawał się przedzierać aksamitnym dźwiękiem przez ciszę nocy.

Poza ich dwojgiem nie było na tarasie nikogo i przez chwilę się czuła, jakby miała z nim umówioną schadzkę.

Na Boga, jeśli ktoś ją z nim zobaczy, z pewnością właśnie to sobie o nich pomyśli! Jej reputacja...

– Nie został mi pan należycie przedstawiony – powiedziała, zadzierając wysoko podbródek, by spojrzeć mu w oczy. – Nie powinnam więc z panem rozmawiać.

– Poznaliśmy się już wcześniej, czy to nie wystarczy?

– Oczywiście, że nie – dodała, mierząc go nieprzychylnym spojrzeniem. – Nie w takich okolicznościach. – Poruszyła machinalnie ręką, wskazując na bawiących się nieopodal gości.

Mężczyzna nawet nie spojrział w tamtą stronę. Wyglądał, jakby jej odmowa bardziej go rozbawiła, niż speszyła.

– Może powinienem poprosić Jamesa, żeby oficjalnie nas sobie przedstawił? Panno...? – Uniósł jedną brew, jakby czekał, aż dokończy zdanie za niego.

– Mówi pan o lordzie Hamiltonie? – zapytała, ani myśląc o tym, by zdradzić mu swoje nazwisko. – Zna go pan?

– Jak najbardziej. Od wielu lat.

Helen przyjrzała mu się dyskretnie.

– Nawet gdyby nas sobie przedstawił – dodała po namyśle – i tak nie miałabym zamiaru z panem rozmawiać. Nosi się pan i zachowuje skandalicznie. To jedynie by mi zaszkodziło.

W oczach mężczyzny pojawił się jakiś błysk i wyraz jego twarzy wyostrzył się nagle.

– Nie sądziłem, że jest pani tak pruderyjna – stwierdził oschle.

Helen nie przejęła się jego tonem. Była mistrzynią etykiety i doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co jej przystoi, a co nie. Dama na pewne znajomości po prostu nie mogła sobie pozwolić.

Niezależnie od tego, czy miałyby na to ochotę.

– Proszę mi wierzyć, bardzo bym chciała mieć w tej kwestii jakiś wybór. Niestety go nie mam.

– Rozumiem, że nawet panią więżą konwenanse? – spytał, jakby się z tym nie mógł zgodzić.

– Naturalnie – zdziwiła się. – Nie ma pan pojęcia, jak wiele zasad sporządzono z myślą o kobietach. Oczywiście w kwestii mężczyzn wykazano się znacznie większą wyrozumiałością...

– Czy usiłuje mi pani powiedzieć, że zawsze zachowuje się tak, jak się tego od niej oczekuje? – Pokręcił głową. – Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Po tych słowach przysunął się do niej nieznacznie, kładąc rękę na poręczy tuż obok jej ramienia. Spojrzała na niego niepewnie. Ostatecznie byli tu sami, a ten człowiek wydawał się mieć wszystkie zasady za nic. Był też niesamowicie męski i bardzo pewny siebie, a co gorsza niespecjalnie przejmował się jej oziębłym zachowaniem.

Szybko uznała, że jest niebezpieczny.

Dla niej. Dla jej reputacji.

Jednak z jakiegoś powodu wciąż tu stała i z nim rozmawiała.

Przez chwilę milczała, zastanawiając się nad jego słowami. W końcu podniosła na niego wzrok.

– Mówi pan jak człowiek, który nie ma nic do stracenia – powiedziała niemal ze złością. Denerwował ją. Podważał wszystko, co do tej pory znała i co wpajano jej, że jest słuszne.

– Bo nie mam – odrzekł i w jego oczach dostrzegła, że mówił prawdę.

– Nie ma pan nic, na czym mu zależy? – wyszeptała.

– Dawno już odrzuciłem wszystkie więzy, które były mi kamieniem u szyi.

Machinalnie spojrzała na wycięcie jego koszuli, po czym uśmiechnęła się leciutko.

– Tak, właśnie widzę – odparła gładko. – Czy jedną z tych rzeczy ciągnących pana w dół był właśnie halsztuk?

Ross odwzajemnił jej uśmiech.

– Zgadła pani. Ten cholerny przedmiot jest stworzony tylko po to, by odbierać mężczyźnie swobodę. A ja lubię oddychać pełną piersią.

– Odpowiednie wyrażanie się przy kobiecie też nie leży w pana gestii? – dodała, słysząc przekleństwo w jego ustach. Jeszcze żaden dżentelmen nie ośmielił się odzywać przy niej w ten sposób.

– A czy obraziłem tym panią?

– Nie.

– W takim razie chyba nie ma się czym przejmować?

Helen stwierdziła, że właśnie w tym momencie go polubiła. Traktował ją jak równą sobie.

Powinna być oburzona, powinna zganić go za jego maniery, a raczej ich brak i czym prędzej uwolnić się od jego towarzystwa.

Jednak była zaintrygowana.

Przedstawiał sobą niewymuszoną swobodę, o której tak marzyła. Nawet nie wiedziała, że tak bardzo, dopóki w prosty sposób nie wyjawiał, jak ważna jest dla niego wolność.

– Jeśli jednak obstaje pani przy tym, by dbać o konwenanse, chyba niegrzecznie jest mnie dalej torturować i nie mówić swojego imienia?

– Proszę mi wybaczyć, ale zapomniałam, jaka jest pana godność – skłamała, udając, że wcale go nie pamięta. Może to choć trochę osłabi tę jego zuchwałą pewność siebie.

– Kapitan Ross Mortimer. – Ujął natychmiast jej palce i uniósł do swych ust. Helen wstrzymała oddech. Jego ręka była duża i szorstka, czuła bijące od niej ciepło nawet przez rękawiczkę. Chciała wyrwać mu swoją dłoń, ale on przytrzymał ją mocno, po czym złożył na niej pocałunek.

Bardzo przykładowy, nie za długi, nie za krótki, jednak wystarczający, żeby przez jej ciało przebiegł niespodziewany dreszcz podekscytowania. Całe szczęście miała na sobie rękawiczki, bo gdyby poczuła jego usta na nagiej skórze...

Już miała powiedzieć coś opryskliwego, by zganić go za zbytnią poufałość, gdy on spojrzał jej głęboko w oczy i wymruczał ciche „do usług”.

Trwała tak chwilę na uwięzi tych słów, bo brzmiało to, jakby... jakby składał jej jakąś propozycję.

Na Boga, on śmiał z nią flirtować!

Wyrwała szybko rękę i odwróciła wzrok.

– Nie potrzebuję pana usług, dziękuję – odparła najchłodniej, jak tylko potrafiła.

– Rozumiem – odrzekł zupełnie niezrażony, a co gorsza, wydawał się nawet zadowolony z jej odpowiedzi.

Do diaska, większość mężczyzn, których znała, szybko się obrażała. Młodzi dżentelmeni miewali dosyć wątle ego i byli wysoce wrażliwi na punkcie odrzucenia. Szczególnie gdy robiła to nieodparcie piękna kobieta.

Potrafiła być nieprzyjemna, jeśli tego chciała, jednak ten człowiek...

– Czekam – powiedział nagle.

Zamrugnęła bezwiednie.

– Na co?

– Na pani imię, rzecz jasna. Chyba, że jest pani szpiegiem i nie może mi tego zdradzić. – Udał, że się zastanawia. – Albo jeśli wisi nad panią jakaś klątwa. – Znów na nią spojrzał. – Czy wisi nad panią klątwa?

Helen prychnęła wyniośle, słysząc te niedorzeczności.

– Co też pan wygaduje...

– Jestem dosyć wrażliwy na klątwy i wolałbym ich serdecznie unikać – dokończył i dopiero po chwili zrozumiała, że sobie z niej żartuje.

Przystawiła dłoń do ust, by nie zauważył jej uśmiechu. Szybko się opanowała.

– Obawiam się, że odkrył pan moją tajemnicę, dlatego też oszczędzę panu kłopotu ze względu na pana ekhm... wrażliwość – odparła z westchnieniem, po czym zaczęła obracać się w stronę budynku.

– Proszę zaczekać – zatrzymał ją natychmiast.

Wiedziała, że to zrobi.

– A jakaż to klątwa nad panią wisi, jeśli wolno spytać?

Uśmiechnęła się psotnie. Ta konwersacja była coraz ciekawsza!

– Powiem panu, jeśli obieca nikomu jej nie zdradzić.

Przyłożył dłoń do piersi.

– Słowo kapitana – zapewnił ją.

Helen spojrzała na drzwi balkonowe, upewniając się, że nikt ich nie widzi.

– Moja uroda jest moją klątwą – odparła, nachylając się nieznacznie ku niemu.

Ross przyjrzał się jej ślicznemu profilowi.

– Jest pani przekonana o tym, że jest piękna – stwierdził bardziej, niż spytał.

Helen spojrzała na niego zdziwiona, ale po jego roziskrzonych oczach zrozumiała, że znów się z niej śmiał.

Och, co za okropny typ!

– Wygląda na to, że albo jest pan ślepy, albo niezbyt inteligentny – warknęła ostrzegawczo.

– Ależ skąd! – Uniósł obie dłonie w geście samoobrony. – Skoro jest pani o tym przekonana, nie wypada mi się z panią nie zgodzić. – Dolewał oliwy do ognia.

– Wielce to łaskawe z pana strony – odparła kwaśno.

– Dziękuję. W końcu jestem dżentelmenem.

– Chyba jego odwrotnością.

– Przepraszam, czy jestem w stosunku do pani niegrzeczny?

– Cóż... nie.

– Ale chciałaby pani, bym był, prawda? – dodał nagle innym tonem i przysunął się do niej tak blisko, że niemal zetknęli się czubkami butów.

Wciągnęła gwałtownie powietrze i zamarła w bezruchu.

On pochylił się nieznacznie i wtedy poczuła zapach piżma, drzewa sandałowego i... morza.

Przeszło jej przez myśl, że tak pachnie prawdziwa wolność.

Zawisł nad nią, a ona chyba po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co ma teraz począć.

Zrobiła więc to, co umiała najlepiej.

– Niech pan pozwoli sobie na jeszcze jeden ruch, a szybko tego pożałuje – syknęła.

Te słowa wypowiedziane lodowatym tonem potrafiły czynić cuda.

Zazwyczaj działały jak kubeł zimnej wody na nachalnych bawidamków.

– A może bardziej bym żałował, gdybym nic nie zrobił? – Chwycił długimi palcami jej podbródek i delikatnie uniósł ku sobie.